

## *Po co ja piszę te słowa...*

### 1

Dlaczego po dwudziestu z górą latach, mimo wielokrotnych deklaracji w mowie i na piśmie, że nie, że nigdy, że nie warto i nie ma sensu – postanowiłem ostatecznie opublikować kilkanaście tekstów spod znaku „władzy słowa”? Sam się sobie dziwię. Przecież miało być inaczej. Samokrytyczna rezygnacja i milczenie. Ale nie, nic z tego. Zmieniłem pierwotny zamiar, ponieważ poczułem się sprowokowany operacjami, których celem stała się pamięć historyczna – a przez to także substancja mojej własnej pamięci. Przyglądałem się temu i osłupiały zadawałem naiwne pytania. Więc jednak można o przeszłości bezkarnie powiedzieć wszystko? Dowolnie przedstawiać figury na szachownicy zdarzeń? Jednych degradować, innych wynosić ponad ich faktyczną zasługę?

Tak, można.

Najwyższy czas na oświadczenie. Promotorem wydania tej książki stał się pewien polityk, w oczach swoich wyznawców nawet „mąż stanu”, któremu się zdaje, że jego słowo ma moc sprawczą. Dlatego od lat rozdaje na prawo i lewo ciosy oponentom politycznym, etykietuje i piętnuje, na nowo tworzy po swojemu przeszłość, jednych odsyłając na miejsce, gdzie kiedyś stało ZOMO, innych awansując na przywódców sierpniowego strajku. Trzeba powiedzieć, że takie zachowanie dowodzi straszliwej arogancji. Jest też wysoce niewłaściwe i niebывale agresywne. Tak nie można i – najzwyczajniej – nie wypada mężowi stanu, który nie powinien ponadto zapominać, że liczni świadkowie niedawnych zdarzeń jeszcze żyją.

Bo oto ja, szeregowy świadek wielkich historycznych zdarzeń, który nie odegrał w nich żadnej znaczącej roli, a zatem jeden

z wielu bezimiennych statystów w najnowszych dziejach Polski, postanawiam przypomnieć kilkanaście moich wypowiedzi z lat 1979–1989. Nie, nie po to, żeby podjąć z mężem stanu spór o przeszłość. Niech robią to inni, lepiej ode mnie do tego przygotowani. Wybrałem rolę skromniejszą. Nie zamieszkałem przecież w historii. Zamierzam więc jedynie *d a ć ś w i a d e c t w o* przeszłości. Powrócę w tym celu do kilku odległych w czasie zdarzeń, które znacznie przekraczają moją miarę, choć mimo to zostały we mnie, tak jak w wielu innych, jakieś ślady. Tak się złożyło, że są to ślady pisane. Przez co najmniej dekadę uważałem bowiem, że wbrew mojej naturze, wbrew naturalnym skłonnościom i chęciom powinienem czasem zapisywać i komentować to, co się wokół mnie (i we mnie) dzieje, co jest udziałem zbiorowości, której jestem częścią.

Nie robiłem tego dostatecznie pilnie i systematycznie. Ubolewam nad tym dzisiaj. Wielu rozpoczętych tekstów nigdy nie ukończyłem, wielu notatek nie rozwinąłem. Projekt, by w stanie wojennym pisać dziennik, został zarzucony po kilku tygodniach. Niewiele więc mam do pokazania. Daleko mi do moich mistrzów – do Viktora Klemperera, autora prowadzonych przez lata „notatek filologa” i przygotowanego na ich podstawie dzieła *LTI (Lingua Tertii Imperii – czyli język Trzeciej Rzeszy)*, a także do Michała Głowińskiego, który dobrowolnie wziął na siebie obowiązek nieomalże codziennego komentowania słów władzy, i obowiązek ten wypełniał uparcie i konsekwentnie w latach 1966–1971 (książka *Marcowe gadanie*), 1976–1981 (*Peereliada*), 1982–1985 (*Mowa w stanie obłąkania*), a dzisiaj jeszcze, w wolnej już Polsce, poddaje czasem krytycznej analizie wypowiedzi wielu polityków. Moim tematem głównym nie był jednak sam język – mowa władzy, lecz raczej sposób osadzania się władzy w mowie (stąd próba fenomenologii „władzy słowa”), a także rozmaite sposoby obrony i przeciwstawiania się jej monopolowi komunikacyjnemu: od indywidualnie doświadczanej „obcości w mowie” po zbiorowo przeżywane „święto wyzwolonych słów” czy „skandowanie”, które stało się w pewnym momencie jedną z najważniejszych form zbiorowej ekspresji. Inaczej też chyba niż

## *Fragment o przemówieniu władzy*

Jedyny przymus, jakiemu Władza podlega, to konieczność nieprzerwanej produktywności językowej.

Władza musi mówić, nie może sobie pozwolić na milczenie. Słowa, których nigdy nam nie skąpi, są znakami jej złowrogiej obecności, jej uporczywego trwania w przestrzeni społecznej wymiany. Mówienie i panowanie zlewają się w jedną formację. Mówiąc, Władza osiąga i utwierdza swą nie tylko językową zwierzchność nad tymi, którzy zobowiązani zostali do słuchania i posłuszeństwa. Milczenie, a nawet przypadkowe i krótkotrwałe zamilknięcie, mogłoby łatwo zachwiać istniejącym porządkiem, zwiastowałoby kres Władzy. I byłoby w istocie początkiem jej końca, gdyby – prócz języka – nie miała ona sił przymusu bezpośredniego, które zawsze, gdy zajdzie potrzeba, przywracają jej słowom należne miejsce.

Czysto językowa wojna, jaka rozpoczęła się w sierpniu 1980 roku i trwała przez prawie cały rok 1981, stopniowo pozbawiała Władzę głosu. Jej byt wydawał się zagrożony jak nigdy dotąd. Każda powielaczowa gazetka, każdy nowy plakat czy napis na murze, każda ulotka zapowiadały jej zmierzch. Władza, choć przecież nadal mówiła – i mówiła coraz więcej i coraz bardziej gorączkowo – przestała być słuchana. Nie tylko dlatego, że niechętnie s ł u c h a n o tego, co miała do powiedzenia. Prawie nikt nie był jej p o s ł u s z n y. Nie utraciła wówczas głosu, więc nadal istniała. Utraciła natomiast społeczny posłuch. Społeczeństwo, świętujące wolność słowa i mówienia, praktykujące tę wolność ponad miarę i tym sposobem „dochodzące do władzy”, wolało raczej wsłuchać się w swój własny głos – głos, który na nowo organizował byt społeczny. Władza nazwie to później

„demontażem socjalizmu”, „rozkładem państwa”, „anarchią”. Teraz jednak, gdy staje się jasne, że w wojnie językowej nie nastąpi żaden korzystny dla niej zwrot, sięga po siły przymusu bezpośredniego. Ostatnim słowem w tej wojnie – wszczyna nim i n n ą wojnę – jest Rozkaz. Tym razem nie czeka już na odzew, na odpowiedź, nie pragnie, jak wcześniej to określała, „odnawiać dialogu społeczeństwa”. Żąda działania od jednych, milczenia od innych. Wprowadza stan wojenny, by tym sposobem przywrócić swoim słowom utraconą moc.

I już w chwilę później, nim rozkaz został do końca wykonany, powraca do słowa. Stan wojenny rozpoczyna się od Przemówienia.

I powtarza je wielokrotnie. Najpierw co godzina w radiu, w telewizji, później we wszystkich pozostawionych przy głosie gazetach. Przez długi czas przestrzeń mówienia w Polsce wypełniały tylko słowa Władzy. Powtarzane słowa i muzyka klasyczna. Nie zagłuszył tych słów krzyk rozpaczliwych społeczeństwa siłą zmuszanego do milczenia. Władza więc mówiła:

„Obywatele i obywatelki Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej!

Zwracam się dziś do Was jako żołnierz i jako szef rządu polskiego. Zwracam się do Was w sprawach wagi najwyższej.

Ojczyzna znalazła się nad przepaścią”.

I dalej o rozpadzie państwa – jej państwa, o anarchii w życiu politycznym i gospodarczym, o fali przestępstw, o bliskości ogólnonarodowej katastrofy, której ona, Władza, próbowała uniknąć, dążąc do porozumienia narodowego. Niestety –

„Przy wspólnym stole zabrakło kierownictwa Solidarności. Słowa wypowiedziane w Radomiu, obrady w Gdańsku odsłoniły bez reszty prawdziwe zamiary jej przywódczych kręgów”.

Te „słowa”, te „obrad”, te „zamiary” – Władza nie mogła ich tolerować. Wybierając „mniejsze zło”, mówiła:

„Ogłaszam, że w dniu dzisiejszym ukonstytuowała się Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego.

Rada Państwa, w zgodzie z postanowieniami Konstytucji, wprowadziła dziś o północy stan wojenny na obszarze całego kraju”.